

Kłopoty pani Doroty



TADEUSZ BOROWSKI

Kłopoty pani Doroty

CZTERNAŚCIE KONI

Pani Dorota weszła prędko do pokoju, starannie zamknęła za sobą drzwi, aby nie wiało z korytarza, odgięła poły obfitego futra, aby się nie wytarło, usiadła na taborecie, nakładając na taboret suknię jak klosz, aby się nie pogniotła, położyła na kolanach kwiaty i odsunawszy niecierpliwym ruchem woalkę z twarzy, rozplakała się bardzo żałośnie.

— Ależ, droga pani Doroto, na miłość najlepszego Pana Boga, nie trzeba tak zaraz rozpaczać! — powiedziałem uprzejmie i pocieszywszy ją, przymknąłem służbowe radio, które w niedzielny jesienny poranek nadawało z Katowic pieśni rewolucyjne śpiewane przez górników:

Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my!¹

— Oczywiście, nie zaprzeczam, sprawa pana Stasinka jest mocno zawiła, to każde dziecko wie — ciągnąłem słodko, siadając na tapczanie naprzeciw pani Doroty — i wiele czynników przypadkowych, a nawet koniecznych złożyło się na to, że pan Stasinek wpadł w takie tarapaty, zresztą, przyzna pani, nie bez swojej winy, ale to przecież jeszcze nic straconego!

— Wszystko stracone — powiedziała bezradnie pani Dorota, podnosząc na mnie jasne, niebieskie, dziecięce oczy, pod którymi wisiały obrzękłe, trupie torby, wilgotne od łez i sine od niewyspania, po czym krzyknęła z rozpaczą:

— Konie! Ach, te konie! Czy pan może to pojąć?! Czternaście koni!

— Takie dobre jak każde inne, tyle, że żywy inwentarz — odparłem obojętnie.

Przyzwyczaiłem się, że przy panu Stasinku wylazły coraz to inne przedmioty: a to kawa, a to spalony folwark, a to fuzja, a to buraki w chwastach, a to pieniądze. Mogło być auto ze szmatą na numerze, mogą być i konie. Spytałem dyplomatycznie:

— Ciekawym, czy siostra pana Stasiuka też będzie działała? Zadziała czy nie? Jak pani sądzi?

Siostra pana Stasinka, niejaka Ciepko — to osobny wybój na polskiej drodze do socjalizmu. Miała na Brackiej sklep z zabawkami i pasztecziarnię koło Dworca Głównego. Obie firmy prosperowały wylęgając się. Jedna lechtiała uczucie matki, druga — żołądki starszych panów.

Mąż pani Ciepko, były kupiec budowlany z Towarowej, dzierżył stanowisko prezesa spółdzielni mieszkaniowej w kamienicy, w której wydzierżawiłem jednopokojową kawalerkę. Kamienica, wzniesiona spółdzielczo przed wojną przez lokatorów, wypaliła się częściowo w powstaniu. Ale dawni lokatorzy (o ile, rozumie się, przeżyli) nie stracili praw do zniszczonych pomieszczeń. Nie mając kapitału na remont, wynajmowali gruzu za słoną cenę. Zapłaciwszy w na pół legalnej transakcji trzysta tysięcy złotych na łapę za pokój z łazienką w rogu, zdobyłem prawo dzierżawy legowiska na osiem lat od nieznanego mi bliżej Elżbiety Balskiej, zamieszkałej w Radomiu. Po tych ośmiu latach pani

¹Nadejdzie jednak dzień zapłaty (...) — tekst socjalistycznej pieśni *Czerwony sztandar* (org. *Le drapeau rouge*), powstałej pod koniec XIX w. we Francji. Tłumaczenia utworu na język polski dokonał Bolesław Czerwieński. [przypis edytorski]

Balska obiecuje sobie sprowadzić się na gotowe mieszkanie. Zimno mi się robi, gdy o niej pomyślę.

Roboty remontowe prowadził w naszej spółdzielni oczywiście sam pan Ciepko. Właścicielnie kreślił plany, zamawiał instalatorów, hydraulików i elektryków; dawał także stolarzy, jeśli bogatszy lokator życzył sobie szafy w ścianie lub dodatkowego kontaktu przy biurku.

Tak się dziwnie ułożyło, że w kawalerkach zamieszkał przeważnie inteligenci: inżynierowie, urzędnicy, lekarze z Ubezpieczalni, a w większych mieszkaniach (trzy- i czteropokojowych) rozłożyli się właściciele sklepów, bogaci mecenasi i grubsi dyrektorzy grubszych, „spółdzielczych” przedsiębiorstw. Zarządzali spółdzielnią i statut wymyślili chytry. Płać od łebka, a nie od pokoiów. Wszystko jedno: czy zajmujesz izbę, czy rozpierasz się w salonach. Więc podnajemcy podnieśli gwałt. Krzychałem najgłośniej, uważając, że trzysta tysięcy wystarczy. Zapożyczyłem się na mieszkanie w wydawnictwach i w ZAIKS-ie² i nie miałem ochoty dorzynać się do reszty.

Po zebraniu podeszła do mnie pani Ciepko, która dowiedziawszy się, że jestem dziennikarzem, a nawet, że piszę książki, postanowiła mi wytłumaczyć tajniki administracji. Od niej też dowiedziałem się o panu Stasinku: „Może by pan pomógł interweniować w takiej a takiej sprawie?” „W jaki sposób, szanowna pani?” „Na pewno zna pan naczelnego prokuratora!” „Nie, niestety, nie znam.” „Pisze pan i pan nie zna? To co pan pisze?” „Takie prawdziwe historie.” „To może pan tę historię opisać? Dorotka panu wszystko opowie. Jak się ludzie dowiedzą, na pewno pomogą. To przecież taki porządny człowiek! Opisz pan?” „Dobrze, opiszę” — odpowiedziałem i oto spełniam obietnicę.

— Więc jakże z tą Ciepko? Zadziała?

— Pani Ciepko obiecała, że wynajmie najlepszego adwokata — powiedziała pani Dorota. — Będziemy obie na rozprawie w B.

— Byłem tam parę razy tego lata. Za parę dni znowu się tam wybiorę — powiedziałem. — Interesują mnie Państwowe Nieruchomości Ziemskie³. Zagadnienie sabotażu. Powłóczę się trochę po okolicy, pogadam z ludźmi. Taki mały urlopik.

— Tak, tak, dziwny jest ten świat — westchnęła ciężko pani Dorota — jednemu urlop, a drugiemu... Wstąpi pan do nas? Będziemy w hotelu, mieszkanie opieczętowano.

— Naturalnie, że wstąpię! Postaram się wszystko zobaczyć!

— Niechże się pan rozejrzy. Na pewno zna pan prokuratora Zabiegę.

— Robiło się kiedyś reportaż z fabryki włókienniczej w B. i trochę znam miasto — odparłem wymijająco.

— A natknął się pan na niejaką Józefkównę z Komitetu Wojewódzkiego PPR⁴? To żmija! To ona z tymi Pokrzywkami...

— Byłem z nią raz na folwarku Pokrzywki jeszcze nawiosnę. Straszne rzeczy tam się działy. Maszyny na deszczu, pola niezorane, a mieszkania ludzi! Ech, pani Doroto! Trzeba tam samemu pomieszkać!

— Ale po co oni mówią, że to wina pana Stasinka. Wszystko Stasinek i Stasinek.

— Ale konie z Pokrzywek sprzedał, prawda?

Pani Dorota milczała, z lekka urażona. Pomilczawszy chwilę, rozwinęła z papieru białe goździki i wetknęła je we flakon na półce z książkami.

— Tu im będzie lepiej niż w kwaciarni. Zapomniałam panu powinszować, a przecież wczoraj były pana imieniny. Właściwie po to przyszłam, a zanudzam pana swoimi sprawami. Ale nie wie pan, jak to człowiek w zmartwieniu? — uśmiechnęła się filuternie.

— No, tak, pani Doroto — powiedziałem, przerywając krótkie milczenie, które zapadło znowu po podziękowaniach. — Ale, jak pani myśli, co to będzie z tymi końmi? Co właściwie pozostaje panu Stasinkowi?

— Śmierć — odpowiedziała pani Dorota i znowu zapłakała bardzo żałośnie.

²ZAIKS — Stowarzyszenie Autorów ZAIKS, organizacja zbiorowego zarządzania prawami autorskimi twórców powstała w XX-leciu międzywojennym. [przypis edytorski]

³Państwowe Nieruchomości Ziemskie — instytucja państwowa, której zadaniem było zagospodarowanie i opieka nad nieruchomościami ziemskimi, od 1949 r. Państwowe Gospodarstwo Rolne (PGR). [przypis edytorski]

⁴PPR — Polska Partia Robotnicza. [przypis edytorski]

BIEDNA PANI DOROTA

Biedna pani Dorota! Świat zwałił się na nią z hukiem jak wodospad, nastąpiła martwa ciemność jak w zasypianym schronie. Można było jęczeć, błagać i rozpaczać — ludzie byli głusi jak więzienie.

Zanim się wydarzyło to nieszczęście z panem Stasinkiem, pani Dorota żyła w spokoju i zapomnieniu od ludzi. Czasu wojny pan Stasinek, naówczas skromny urzędniczek warszawski dorabiający handelkiem, daleki jej kuzyn zresztą, którego przed wojną omijała z daleka, uratował jej życie, wyciągnąwszy ją przez wiadome stosuneczki z warszawskiego Pawiaka, gdzie usiadła z łapanki ulicznej. Za to przywiązała się do niego bardzo serdecznie i odwzajemniła mu wieloletnią tajoną miłość.

W powstaniu pan Stasinek stracił mieszkanie i mebelki, ale ocalał trochę uhandlowanego złota, wykupił się wraz z panią Dorotą z Pruszkowa, przycupnął na wsi podstolecznej, a kiedy wojna się skończyła, zostawił pani Dorocie parę złotych na przeżycie, a sam kropnął się na Ziemię Odzyskaną⁵, aby się rozfartować. Jakoż wrócił po dwu czy trzech miesiącach, dostojny, władczy, bogaty. Od razu stał się dygnitarzem: kupił jej na Mokotowie słoneczne i przytulne spółdzielcze mieszkanie, pachnące świeżym tynkiem i bzem rozkwitłym w ogródku pod oknem. Mieszkanie to (dwa pokoje, łazienka wykładana kaflami, piękny korytarz, kuchnia, nisza dla służącej — wszystko służbowo zapisane na pana Stasinka) zaludnił pan Stasinek stylowymi meblami z pałacu junkra pruskiego, przyozdobił kryształami, porcelaną, obrazami, dywanami i obrusami, rozweselił gustownym radiem szafkowym, wymościł bielizną i pościelił zdartą z zasobnych domów mieszczańskich na Zachodzie i ubierając panią Dorotę z serdeczną troską od majtek aż do pelisy, otulał ją przed mroźnym i nieżyczliwym światem czule, jak śnieg otula wąty kielek pszenicy.

Jakże smaczne, jakże lekkie, jakże usługne, pogodne są te cudowne zakąski, płytkie zupki w ogrzanych talerzach, kotleciki, udka, skrzydełka zlatujące z wiotkich dłoni kelnera jak gołąbki! Ileż odcieni goryczki i słodczy, cierpkiej siły i pieścizotliwej słabości mają te wszystkie wina, których pochodzenia, kolorów i smaku nawet pan Stasinek nie umiał wyliczyć! Ileż miłosnego uroku, obietnicy wstydlivej nocy wyziera z blasku matowych świateł kawiarni! Jakże piękne są falujące równiny przecinane samochodem jak łódką! Jakże miękkie asfalt rozgrzany w letnie południa, jakże zabawne niespodziewane zakręty, podjazdy i spady górskich szos. A nade wszystko — jakże mądry i mocny jest ten człowiek, mężczyzna na sto dwa, szanowany i wzbudzający przestach, który ją unosił jak anioła między niebem a ziemią i składał na łożo ostrożnie jak studolarówkę.

Nie mogłem się powstrzymać od chęci zapoetyzowania. My, dziennikarze, nie mamy czasu zawodowo uprawiać poezji: od tego są — jak wiadomo — poeci. Każdy z nas ma swój dział: jeden robi gospodarkę, drugi redaguje depesze, trzeci zbiera wiadomości z miasta. Gazeta — to nie tomik Kubiaka⁶: trzeba pisać rzeczowo i zwięźle. Toteż poetyzujemy sobie poza redakcją, prywatnie. Zwłaszcza, gdy piszemy o miłości. Tak się usprawiedliwiwszy, wracam do opowiadania.

Przez długie miesiące sumienie żony nie dawało pani Dorocie spokoju. Mąż pani Doroty, znany przed wojną adwokat, radca prawny wielkiego kartelu zagranicznego, zakochany w niej do szaleństwa, ale traktujący ją jak „kokotę”⁷ — uciekł we wrześniu z Polski, zabierając papiery firmy i zostawiając żonę, która nie zdążyła na czas z letniska.

Przez Rumunię, zwykłym szlakiem przedostał się na Szwajcarię, gdzie miał znaczny kapitał w banku; powiększył majątek na mniej i bardziej legalnych dostawach, wojennych spekulacjach i machinacjach z agentami firm niemieckich, korzystając z kontaktów osobistych i powiązań politycznych. Z Genewy paczkami, pieniędzmi i dobrymi radami pomagał żonie spokojnie przesiedzieć okupację i mieć oko na jego podwarszawskie

⁵Ziemia Odzyskana — ziemie zachodnie i północne przyznane Polsce na mocy postanowień konferencji poczdamskiej, obejmujące Pomorze Zachodnie z Kołobrzegiem i Słupskiem, Pomorze Gdańskie, Łużyce, Ziemię lubuską, Ziemię kłodzką, Śląsk, Wielkopolskę, Warmię, Malborskie i Prusy Książęce. [przypis edytorski]

⁶Kubiak, Tadeusz (1924–1979) — poeta, satyryk, w 1949 r. nagrodzony w konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki. [przypis edytorski]

⁷kokota (daw.) — utrzymanka, prostytutka. [przypis edytorski]

posiadłości, jakieś rozległe parcele i place, na których niegdyś miano stawiać fabrykę samochodów, doprowadzić do niej bocznice kolejową i zbudować szosę.

Kiedy się wojna skończyła i poczta (państwowa i ta inna) zaczęła jako tako działać, pan adwokat Umiasowski nie przestawał namawiać panią Dorotę, aby się do niego przedostała. Wskazywał jej pewnych ludzi i bezpieczne szlaki. Zrezygnował z parceli i placów; przyjaciele szwajcarscy uświadomili go, że rewolucji nikt nie zdławi zbrojnie; co najwyżej można spróbować sabotażem i dywersją. Otrzymałszy pouczenia męża, pani Dorota wahała się, kręcąc w palcach świstek papieru. Nie była już pierwszej młodości i znając dobrze wymagania swojego męża, obawiała się konkurencji szwajcarskiej. Pragnęła także troszkę się potargować i wymusić konkretniejsze zapewnienia niż miłość i przywiązanie. Żał jej było również pana Stasinka, który z dnia na dzień rósł w znaczenie i coraz zapamiętałej ją kochał. Iście gordyjski węzeł uczuć! Odpisała tedy, że się boi ryzykować, że będzie „tęsknić za starą, ukochaną, bohaterską Warszawą, której losy do końca dzieliła”, że na razie nie ma na podróż pieniędzy i że zaklina go na ich miłość, aby powrócił i oddał siły krajowi na pożytek.

„Na pewien czas mam spokój — pomyślała ucieszona, wysławszy list pocztą pantoflową. — Wilk syty, koza cała i kapusta nie ruszona”.

Ku przerażeniu kapusty koza nagle stanęła przed nią. Pan adwokat poradził się swoich przyjaciół i otrzymałszy pouczenia, przesznuł do kraju trochę obcej waluty, dolarów, funtów i franków na założenie przyzwoitego, solidnego gabinetu adwokackiego. W ślad za gotówką sam pojawił się nagle w Warszawie. Zeszli się jego tutejsi przyjaciele i przy okazji zdali mu wyczerpujące relacje z poczynąń pani Doroty i pana Stasinka. Znaczący stosunków politycznych nie radzili mu jednak zadzierać z prezesem, który trzęsie ponoć całym województwem B. i ma nieliczne chody u władz centralnych; przeciwnie — należało nawiązać kontakt z panem Stasinkiem. Również nie ma co oburzać się na panią Dorotę. Któżaż kobieta postąpiłaby inaczej? Poza tym taka kobieta każdemu wlezie do łóżka i chętnie da kontakt; potem odejdziesz, a kontakt zostanie.

Pan adwokat niezadowolony był z wytycznych, ale zagryzł ze złością wargi i wezwał żonę na rozmowę.

— Moja droga, nie biorę ci niczego za złe, bo kobiecie w twoich latach i z twoim charakterem trudno wytrzymać bez mężczyzny; zresztą ja także na emigracji nie tylko myślałem o ojczyźnie — powiedział jej prosto z mostu pan adwokat, zaprosiwszy panią Dorotę do wyremontowanego czteropokojowego mieszkania na Mokotowie.

Zajmował cały parter willi, okna kazał okratować, drzwi obić od wewnątrz żelazną blachą.

— Nie zamierzam ciebie prosić, abyś tu zachodziła pomieszkać na godzinę, zbyt szanuję twoje nowe uczucia, sam żywię dla ciebie pewien sentyment. Mój Boże, tyle lat człowiek żył razem i na starość musi się rozłączyć!

— Wiesz, że mi też nielekkko — szepnęła pani Dorota.

Rozglądała się z zaciekawieniem po bogatym gabinecie.

„Gdzie on dostał takiego Podkowińskiego?” — pomyślała z podziwem. Znała się trochę na obrazach; przed wojną adwokat to i owo miał w galerijce. Mecenas pochwylił jej spojrzenie.

— Urządzam się na razie, jak widzisz. Ze smakiem, powoli, mam czas. Więc do rzeczy. Daję ci, powiedzmy, pół roku do namysłu. Nie jestem już w tym wieku, kiedy bez kobiety nie można dnia wytrzymać. Jeżeli przekonasz się, że obowiązki żony są ważniejsze niż przygodny kochanek, to mieszkanie czeka na ciebie, a w przyszłości może i samochód. Ponadto dostaniesz sto tysięcy miesięcznie na własne rozrywki, ale już nie te, którym się teraz oddajesz. Tego nigdy nie znośłem, to wiesz. Za parę lat zresztą zestarzejesz się i kochanek ciebie rzuci. Nie będzie mu wypadało obnosić się na wysokim stanowisku ze starą żoną, w dodatku tak podejranej konduity jak twoja. Zobaczysz, że będą mu patrzeć na palce i zmuszą, aby żył z pensyjki służbowej. A jak się nie ma pięknej kochanki, to po co stara żona? Wtedy znowu przyjdiesz do mnie, ale już będzie za późno. Nie potrzebujesz się od razu decydować, ale pomyśl. Kiedy przyjdzie wiać znowu — a na pewno trzeba będzie, dobry interes nie trwa wiecznie — zabiorę cię z sobą, zobaczysz.

⁸Podkowiński, Władysław (1866–1895) — malarz tworzący w okresie Młodej Polski. [przypis edytorski]

Tu pani Dorota uśmiechnęła się niedowierzająco, ale adwokat Umiastowski zdusił ogarek w popielniczce i spokojnie ciągnął:

— Jeżeli zaś pragniesz prowadzić dalej żywot emancypantki, to pamiętaj, że ja ci rozwodu nie dam, a nie myślę, żeby przyszłemu dygnitarzowi było przyjemnie osławić się procesem rozwodowym i chwalić się, że zabrał żonę mnie, który musiałem przebywać na obczyźnie. Kobiętę o zabazgranym pochodzeniu społecznym! Która podczas wojny spała, z kim się dało!

— Nie zapominaj, że jestem twoją żoną — powiedziała sucho pani Dorota.

— Nie zapominam, najdroższa — rzekł pan adwokat Umiastowski. Pochylił się nad biurkiem i ująwszy jej rękę, pocałował czule gładką, wypielegnowaną dłoń. — Więc namyśl się. Żeby zaś ci ułatwić rozmyślenia, wyznaczam ci tymczasem czterdzieści tysięcy pensji miesięcznie, które pobierać będziesz u mego aplikanta w pierwszy piątek każdego miesiąca. A teraz pozwól — rzekł, dźwigając się ciężko z fotela — że ci ucałuję obie rączki na pożegnanie.

Odprowadził ją na korytarz, podał jej futro i zamknął za nią okute żelazem drzwi. Założywszy łańcuch, kazał służącej wygrać łóżko, wykąpać się i przynieść wino do sypialni. Stary pan krew miał gorącą, wcale a wcale nie adwokacką.

Wsunąwszy się tego wieczoru pod świeże prześcieradło, wciągając z rozkoszą wilgotny i ciężki zapach lipcowej nocy, szumiącej za otwartym oknem jak dojrzałe zboże, pani Dorota podłożyła dłoń pod głowę, zanurzyła leniwie palce w bujne, syplące sploty włosów i zaczęła swoje rozmyślenia. Ważyła swoje szanse ostrożnie jak aptekarz. Kiedy uczuła, że jej jeszcze młode i powabne ciało powinno należeć do zdolnego, energicznego prezesa, przyszłego posła, wojewody, a może (kto wie?!) wiceministra lub nawet więcej, a nie do starego adwokata, któremu prędzej czy później ograniczą praktykę i dobiorą się na siłę do pieniędzy jak do puszki konserw, i kiedy, uśmiechając się mściwie na myśl o rozwodzie, pani Dorota zgasiła papierosa i podkurczyła nogi do snu — wtedy w wojewódzkim mieście B. pan Stasinek przeciągnął się na twardej ławce aresztu i poprosił pilnującego go milicjanta o połówkę papierosa.

Próżność

ŚMIERĆ FRAJEROM

Początek

Poznoszono księgi, rachunki, asygnaty i protokoły; zamówiono na parę nocy buchalterów przysięgłych i ekspertów; przesłuchiowano cierpliwie administratorów, kierowników, zarządców i magazynierów, właścicieli barów i restauracji, szoferów i robotników rolnych; wzywano członków zarządu i stronnictwa; dyskutowano sprawę w odpowiednim wydziale Komitetu Wojewódzkiego PPR i na komisji międzypartyjnej; wyjeżdżano komisyjnie w teren, udawano się do Warszawy i tam przeglądano sprawozdania zarządu, które układał i podpisywał prezes; wykrywano w nich sporą dozę fantazji, sprytu i polotu; gromadzono dzień po dniu coraz większy materiał dowodowy — i tak opukiwano sprawę jak zwietrzały mur przez parę najpiękniejszych tygodni lata.

Tymczasem zaś cała biedota w majątkach rolnych należących do związku i cały aktyw w B. odetchnęli po upadku pana Stasinka i śmieli się z tej ślicznej fuzji trzylufowej, tak zwanego drylingera. Drylinger zresztą nie strzelał, był zepsuty na amen, ale stał się jedną z przyczyn nieszczęścia na równi z dziesięcioma funtami czarnej, niemielonej kawy. Były i inne powody, ale z tych się już nie śmiano. Drylinger świadczył, że związek idzie na udry⁹ z bandami. Stał w szafie w sekretariacie związku; szafa się nie domykała i interesanci wychodzili z lokalu pod wrażeniem ostrego pogotowia bojowego.

— Pilnuje się, bestia, ten pan Stasinek. Leży na forsie państwowej jak pies — mówili z uznaniem.

Z kawą było nieco inaczej: myszkując po zameczkach pojunkrowskich¹⁰ pan Stasinek obok wielu pięknych mebli, które ciężarówką poszły do Warszawki, znalazł przypadkiem w szpiżarni dziesięć funtów tego towaru. Nie oddał jej do stołówki, gdzie by się na

Władza, Interes

⁹ iść na udry — wchodzić z kimś w ostry konflikt. [przypis edytorski]

¹⁰ pojunkrowski — należący dawniej do junkra; junkier: pruski szlachcic, właściciel majątku ziemskiego. [przypis edytorski]

kawie i tak nie poznali, lecz do restauracji. Kierownikowi magazynu przy stołówce nie było to w smak. Wolałby kawę protokolarnie sprzedać, ale pomyślawszy zamknął szczelnie gębę. Niech no by spróbował zadrzeć z panem Stasinkiem!

Bo wreszcie trzeba wam wiedzieć, że pan Stasinek prezesował Związkowi Zawodowemu Pracowników Samorządowych i pełnił z jego ramienia ważne funkcje w B. Jak to się popularnie mówi, trząśł całym B. Chociaż nie był w PPR, ale u chłopów był za pana brata z niejednym partyjnym, wszystko załatwiał na gębę, zaufanie za zaufanie. Należało mu się; ostatecznie — przyjechał jeden z pierwszych na ziemię zachodnie, organizował władzę w B. i kiedy podpisał, to zawsze mówił, że się najlepiej czuje jako pionier. Wystarał się dla związku o kilkanaście majątków rolnych, którymi zarządzał z niewyczerpaną energią. Rozprowadził hodowlę duńskich koni, w lasach urządził tereny łowieckie. Zwierzyną było w bród, a dostojników-myśliwych jeszcze więcej.

W mieście pan Stasinek założył stołówkę, projektował żłobek dla dzieci i dom dla pracowników. Niestety, majątki nie odpalały dochodu, trzeba było dopłacać robotnikom i fernalom. Również politycznie pan Stasinek przeszedł, jak to się zwykle podkreślać, ewolucję. Jeszcze w referendum prowadził agitację dla PSL-u, ale tuż przed wyborami zerwał z reakcją i przeszedł do Nowego Wyzwolenia¹¹. Chciano, aby kandydował z listy tego stronnictwa, ale opozycja bloku była zbyt silna i pan Stasinek ustąpił zaszczytu innemu, sam zapewniając sobie eksponowany urząd prezesa. Liczył, że gdy kolega poseł wyfrunie do Warszawy, on zajmie jego mieszkanie i odziedziczy godności w terenie, a udeptawszy grunt pod nogami, podskoczy wyżej w następnych wyborach.

Przenosząc się do stolicy, koleżka pożyczył z kasy związkowej okrągłych parę tysięcy na pokrycie swojej sprawy rozwodowej (porzuciwszy żonę, żenił się z sekretarką), a na zastaw dał dwie fuzje¹², które mu niegdyś podarował tenże związek. Dwururkę oddano do majątku, drylingera¹³ powieszono w sekretariacie.

Krótko i węzłowato: pan Stasinek determinował poważnie życie społeczno-polityczne w B. Stąd stale był w rozjazdach. Auto służbowe, drogi asfaltowe, więc się nie przemęczał. Regularnie wizytował folwarki i majątki, aby zaś utrzymać kontakt osobisty z Warszawą, niewołany jeździł na konferencje do stolicy i przywoził z niej najświeższe anegdoty antyrządowe. Rachunki pokrywał związek. Ponieważ jednak skarbnik był formalistą, do tego trochę chorowitym, więc pan Stasinek urządził go gdzie indziej. Sam objął jego funkcję i nie bawiąc się w biurokrację, akceptował wystawione przez siebie asygnaty. Kajsjer, niejaka Teresa S., honorowała wszelkie kwity pana prezesa. Niech no by spróbowała inaczej!

Tak minął roczek jeden i drugi. Państwo się umocniło, zwalczono bandy, zabrano się do Planu; rosły fabryki, domy i — ludzie. Ale majątki pana Stasinka nadal nie przynosiły dochodu i za każdy wóz kapusty, który szedł do stołówki urzędniczej, trzeba było przysyłać administratorom pieniądze na wypłatę pensji. Z zamczków junkrowskich zginęły naczynia, meble, dywany, posadzka. Zostały gołe, odrapane, samotne ściany, w których hulał wiatr. Za to u niejednego gościa w Warszawce można było spotkać porcelanę, obrazy, a nawet trofea myśliwskie z B. Pan Stasinek miał stosunki.

Nie było go całą zimę w B. Przeżywał z panią Dorotą najpiękniejsze miesiące swego życia w Zakopanem, dokąd udał się salonką rządową i zamieszkał, nie wiadomo czemu, w pensjonacie dla pracowników filmowych. Pani Dorota pięknie jeździła na nartach; pan Stasinek czynił wysiłki, aby jej sprostać. Gdzie się poruszył, spotykał znajomych i przyjaciół, którzy głośno zazdrościli mu szykownej *kobity*. Wreszcie, przynaglony depeszami i listami, zostawił panią Dorotę w „Wersalu” i sypialką¹⁴ wrócił do B.

Tak się złożyło, że pod nieobecność pana Stasinka zmieniono nagle w B. Komisję Specjalną, na której czele stanął młody, przybyły z Łodzi prokurator Zabiega. Kawaler, mający na utrzymaniu starą matkę, rodem ze wsi góralskiej.

¹¹*Nowe Wyzwolenie*, właśc. *Polskie Stronnictwo Ludowe „Nowe Wyzwolenie”* — w skrócie: PSL „NW”, chłopska lewicowa partia założona 9 czerwca 1946 w Warszawie z inspiracji polityków PPR przez grupę rozmową polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego, opozycyjną wobec lidera PSL Stanisława Mikołajczyka; nazwą nawiązywała do przedwojennego lewicowego odłamu ruchu ludowego, PSL „Wyzwolenie” (1915–1931). [przypis edytorski]

¹²*fuzje* — strzelby myśliwskie. [przypis edytorski]

¹³*drylinger* — in. trójlufka, strzelba myśliwska o trzech lufach. [przypis edytorski]

¹⁴*sypialka* — pociąg z przedziałami sypialnianymi. [przypis edytorski]

Od razu powiało w miasteczku nieprzyjemnym chłodkiem: prokurator nie pił, za dziewczynkami w stołówce związkowej się nie oglądał (a było za czym), do baru hotelowego nie chodził, nie pokazywał się prawie wcale w kolejowej restauracji pana Olejnika. Czasem tylko, gdy miał nagle sesję wyjazdową, wpadał po kilka kanapek na drogę. Lubił natomiast rozmawiać z „ludźmi”, laził na wszelkie zebrania, budził zgorznienie swoimi przyjaźniami z załogą elektrowni i gazowni; włóczył się zapamiętałe po okolicy. Mówiono, że to góralskie nawyczki ciągną faceta za miasto.

Roboty miał sporo i wsadzał, aż się kurzyło. Przymknął jedną bimbrownię, znalazł mały składzik na stryszku u aptekarza, podkreślił — jak to się powiada — kilku hurtowników, przetrząsnął piwnicę restauratora Olejnika i odebrał mu chęć oszczędzania; zagnał paru spekulantów do obozu pracy i jakoś niechcący zawadził o gospodarkę w związku samorządowców. O tej gospodarce głośno już było w miasteczku, chociaż otwarcie nie mówiono jeszcze nic. W dniu, kiedy spaliły się zabudowania folwarku Pokrzywki, przybyła stamtąd delegacja fernali¹⁵, aby na zebraniu aktywu partyjnego elektrowni postawić sprawę lekarstw dla majątku.

Elektrownia opiekowała się majątkiem i brała udział w jego życiu społecznym. Pokrzywki należały do Związku Zawodowego Samorządowców, ale związek rozłożył ręce. „Brak funduszy na lekarstwa” — powiedział jesienią pan Stasinek i sprawę załatwił odmownie. „To jak to? Nic się nam nie należy? — mówili z goryczą delegaci fernali. — Tylko pracuj i haruj, a taki lajdak będzie się po Polsce rozbijał z babą? I nikt mu na palce nie patrzy? Dla niego pieniądze są? Wolno mu przyjeżdżać z kim zechce i każdemu mówić: «Śmierć frajerom»? Wylegiwać się w pałacu z kobitką? A potem rączki rozkładać, jak się do niego przyjdzie? Przyjdźcie, towarzysze, zobaczcie te spalone budynki. Czort się w tym nie rozbierze”.

Po południu naczelnik wydziału sabotażu z urzędu wojewódzkiego UB¹⁶, towarzysza Józefkowa z Komitetu Wojewódzkiego Partii i prokurator Zabiega wsiedli w samochód i wraz z dziennikarzem, który przypadkowo bawił w B., udali się do Pokrzywek.

— Pechowe majątki — powiedział prokurator Zabiega, kiedy wyjechali za miasto. — Ziemia nie rodzi, bydło marnieje, a teraz jeszcze te dzieci. Brak przedszkola!

— Co się tyczy przedszkola, szanowny towarzyszu, tośmy je założyli — odparła towarzysza Józefkowa.

Pochodziła ze Śląska; rodzina od trzech pokoleń socjalistyczna. Dziad zginął w 1905¹⁷; ojciec za sanacji wypuł płuca na Świętym Krzyżu¹⁸, ona za okupacji przejechała się przez kilka obozów. Teraz wysłała ją partia na drugi koniec Polski. Robota partyjna była dla niej zwykła jak dom: pokój jej w Komitecie stale pełen był matek, nauczycieli, chłopów, roboczarzy. Udzielała rad i miała dobry zwyczaj doprowadzać każdą sprawę do końca. Jak to mówiła pani Dorota? Że jest żmiją? Jeżeli tak, to musiały jej się bać reakcyjne żaby, myszy i jaszczurki. Uśmiechnęła się młodo i dodała:

— Jakoś, towarzyszu prokuratorze, ze wszystkimi ludźmi gadacie, a do mnie drogi nie znaleźliście. Myślicie, że wychowanie to pies?

Ostatnie zabudowania miasta zostały za nami, wyjechaliśmy między wiosenne, surowe pola. Powiał ostry, kwietniowy wiatr, niosąc zapach butwiejących liści i rozgrzanej, wilgotnej, płodnej ziemi.

¹⁵fornal (daw.) — najemny robotnik. [przypis edytorski]

¹⁶UB — Urząd Bezpieczeństwa. [przypis edytorski]

¹⁷rewolucja 1905 roku — wystąpienia o podłożu społecznym i narodowym, przeciwko absolutyzmowi carskiemu oraz uciskowi obszarników i przemysłowców (począwszy od „krwawej niedzieli” 22 stycznia 1905 w Petersburgu); w Królestwie Polskim strajki i walki rozpoczęły się pod koniec 1904 roku i trwały do 1907 r., ideowo kierowane przez Polską Partię Socjalistyczną i Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. [przypis edytorski]

¹⁸Święty Krzyż — tu: działające w l. 1918–1939 Więzienie Ciężkie na Świętym Krzyżu (Łysej Górze, szczyte o wys. 594 m n.p.m. w Górach Świętokrzyskich), wcześniej funkcjonujący w budynkach skasowanego klasztoru benedyktynów w l. 1852–1865 zakład poprawczy dla księży (Instytut Księży Demerytów a. Instytut Księży Zdroźnych), następnie w l. 1886–1914 więzienie carskie (ze wzgl. na warunki atmosferyczne najsurowszy zakład karny w Polsce, zw. „Polskim Sachalinem”). Więzienie w II Rzeczypospolitej przeznaczone dla pospolitych przestępców z wieloletnimi wyrokami i dożywociem oraz więźniów politycznych: komunistów, podejrzanych o szpiegostwo, a także członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów; wyroki odbywali tu m.in. Sergiusz Piasecki (w więzieniu na Świętym Krzyżu napisał powieść *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*) i przywódca OUN Stepan Bandera. [przypis edytorski]

— I przedszkolanka jest, dziewczyna młoda, niedoświadczona, prosto z miasta. Boi się dziecka dotknąć — ciągnęła dalej Józefkowa. — Wiecie: co wychowamy człowieka, to go nam zabierają albo do Warszawy, albo na inną robotę. A czasem to i sam odchodzi. Wiecie, jak to z ludźmi. A jeśli idzie o majątki Związku Samorządowców, to trochę jeżdżę po terenie, przyglądam się gospodarce to tu, to tam i gdzie tylko co złego, zawsze natrafiam na ślad naszego pana Stasinka. Już się towarzysze ze mnie śmieją i radzą mi, żebym wyszła za niego za męża. Pewnie się w nimkocham, powiadają.

Za mało kontrolujemy pracę ludzi i wierzymy im na gębę — opowiadała towarzyszka Józefkowa. — Oto jak jest naprawdę. Więc kiedyś byłam w Duksztach. Majątek o jakie dwadzieścia kilometrów stąd. Jesienna orka. Traktory chodzą po polu. Ale choć jestem z Zagłębia i widziałam więcej kominów niż zagonów, coś mi się to oranie nie spodobało. Zatrzymuję wóz, wysiadam, przyglądam się skibom. Jedna od drugiej o dobry metr, stoją na sztorc, a traktor zagarnia ziemię, aby szybciej, aby więcej. Pytam: „Obywatelu traktorzysto, czy tak was uczono orać?” „Nie, odpowiada, ale tak kazał administrator”. Idę do administratora. Nie chciał gadać, taki był ważny, ale zmiękł. Mówi: „To pan Stasinek kazał. Wypełnić plan, zorać na oko, a potem, mówił, jeszcze się raz do tego weźmiemy”. Administrator wyleciał, pan Stasinek został.

— To nie jest tylko sprawa pana Stasinka — mruknął naczelnik z UB. — Trzeba ruszyć całe kumoterskie gniazdo. A gniazdo wisi wysoko. Nie zawsze można się wdrapać do niego.

— Wdrapiemy się! — powiedział optymistycznie prokurator Zabiega. Rozwinął z papierka bułki z masłem i pasztetem i poczęstował współtowarzyszy. — Przyzwyczajenie. Nie mogę jechać na głodnego.

— Wiadomo, że się wdrapiemy! — odmruknął naczelnik. — Tylko trzeba popluć w łapy.

— Albo jestem w innym majątku — mówiła dalej towarzyszka Józefkowa. — Znowu na jesieni ubiegłego roku. Deszcz, plucha, psa nie wygoń. Widzę pole zarośnięte badylem do pasa. W badyłach ludzi. Łążą po polu, zginają się, prostują, jakby coś zbierały. „Zwariowali widać” — powiedział mój szofer i zatrzymał się na skraju drogi. Wsiadam, idę w pole. „Ludzie dobrzy, co wy robicie?” „Buraki cukrowe zbieramy” — odpowiadają chórem. „Gdzie? W badyłu?” „A czemu nie, jak płacą?” „Pokażcie te buraki!” Pokazują mi. Małe jak mysie ogonki. Rzodkiewka jest już większa. I tak na całym polu, pięć hektarów. „Jak to, nie obrodziły?” „E, to nie dlatego. Pola nikt nie oczyścił z chwastów, to i zarosło. Zagłuszyło”. Pan Stasinek znowu zlekceważył. Miał przysłać pomoc z miasta. Nikogo nie przysłał, administratorowi powiedział: „Śmierć frajerom! Radź sobie sam!”.

Administrator radził, jak mógł, sprzedał, co mógł, uciekł i teraz szukają go po Polsce. A pan Stasinek siedzi spokojnie w Zakopanem. Rozumiecie już, czemu majątki dochodu nie dają i zamiast mobilizować masy są zarazą?

— Rezerwat pana Stasinka — mruknął naczelnik z UB.

Samochód wszedł w głęboki las, ulubione tereny łowieckie prezesa. Droga schodziła w dół i okrążywszy puszcę, wpadała do łagodnej doliny. W dolinie świeciły się białe zabudowania dworskie, czerniały czworaki za sadem. Czarna rzeczka wiała się w dolinie, wezbrana wiosennym przypiływem. Samochód przemknął się przez mostek, wyminął bramę sadu i zatrzymał się przed dworkiem. Przyjechali.

— Ależ, proszę państwa — mówił, przywitawszy się zarządca, wąsaty bałagula¹⁹ o poczciwym, psim spojrzeniu — oczywiście, to brak dozoru z naszej strony. A czyż ty, miłeńki, możesz wszystkiego upilnować? Sam, swoimi rękoma? Chłopi potępili to na swojej partii, lecz co z tego? Próżne gadanie!

— A budynki się spaliły, co? — zagadnął naczelnik z UB.

— Widzicie, panie, dzieci nie są pilnowane w domu. Fornal idzie do roboty, to wetknie dzieciakowi co nie bądz do rąk, żeby się nie darło. Ot, i wetknął któryś zapalki. Dawniej, jak chłop, bywało, dzielił zapalkę na czworo, to ognia było mniej. Dobro swoje szanował. Ale teraz, jak chłop się dorwał do kultury, to jak do wody sodowej. Wszystko się może zdarzyć.

Chłop

¹⁹bałagula — woźnica; tu: nudziarz, rzęda, gaduła. [przypis edytorski]

— Tak, tak, wszystko może się zdarzyć, jak się chłop dorwie do kultury — powiedziała w zamyśleniu Józefkowa.

Obejrzeni zabudowania dworskie, spalone do fundamentów. Część była wyprowadzono, część się spaliła. Naczelnik UB chodził po zgłiszczach i w zadumie grzebał końcem buta w popiołach. Nad ranem spadł deszcz i nawet głównie pachniały wiosną. Patrząc, a śniegułki²⁰ polecą i przylaszczki wyjrzą na łąkach.

— A to ciekawe, towarzyszeko Józefkowa — powiedział spokojnie, otrzepawszy buty — że konie znikły jak kamfora. Spaliły się na popiół czy co?

— On mówi, że stały koło szopy z sianem. Tu najdłużej szalał pożar.

— Wszystko razem kupy się nie trzyma. Tylko w powieściach o dobrych panach spotyka się motyw podpalenia przez dzieci budynków. Ale żeby akurat w Polsce Ludowej, akurat na wsi, akurat w majątku związkowym, akurat w Pokrzywkach, gdzie jest taka zaśmiana gospodarka, gdzie toczy się taka zaciekła walka klasowa, żeby tu dzieci ni z tego, ni z owego bawiły się ogniem — nie, wybaczcie, nie nabierajmy się na stare konwencje literackie! Gdzież socjalistyczna konstrukcja losu ludzkiego?

— To wy czytacie „Kuźnicę”²¹, towarzyszu? — zapytał przerażony dziennikarz.

— A co robić w takim miasteczku? — machnął dłonią naczelnik. — Jak byłem w I Armii²², to nawet wiersze pisałem. Literat, można powiedzieć.

Polazł powoli przez podwórze i wszedł między zabudowania fornalskie.

— Nie przyjeżdżał tu kto? Jesienią? Może latem? Może w zimie?

— Pan Stasinek przyjeżdżał.

— A więcej nikt?

— Pan Stasinek przyjeżdżał samochodem z jakimiś panami.

— Swoim samochodem?

— E tam, swoim! Innym, wielkim, zielonym.

Naczelnik wyjął z portfela zdjęcie chevroleta i podsunął gospodarzowi pod oczy.

— Takim.

— A o czym gadali?

— A kto ich wyrozumie? Obcym językiem. Ludzie mówią, że to panowie z zagranicy.

— A co było napisane na samochodzie?

— E, abo on taki głupi, myślicie? Numer był okręcony szmatą.

— Cholera! — powiedział naczelnik i podrapał się po głowie. — Dzieci, psiakrew!

Poczęstował gospodarza papierosem i sam zapalił. Pomilczeli chwilę, zaciągając się dymem. Potem podali sobie ręce i każdy wrócił do swojej roboty.

Tymczasem administrator zachwalał przed Józefkową akcję lekarską:

— Niech ludzie gadają, co chcą, a przecież związek zrobił dla nich naprawdę bardzo dużo. Sam pan Stasinek dał lekarstwa, przysłał lekarkę z powiatu; raz był u nas ambulans dentystyczny. Urządziliśmy wzorowe przedszkole. Niedawno, ale jest. No i mieszkania ludziom mieliśmy postawić. W planie było. Nawet kredyty dostaliśmy. Cóż, kiedy znowu to nieszczęście z pożarem.

— Chodźmy do przedszkola — przecięła krótko Józefkowa.

Poszli gromadą. Zgięli się w niskich drzwiach i weszli do brudnej izby. Dawniej — jadalni pańskiej. Na ich widok przedszkolanka, młoda, hoża dziewczyna, zerwała się z ławki. Dzieci stanęły w kole i urwały wpół słowa piosenkę *A jak przyjdzie słońce i pogoda. Z sufitu zwisały się kolorowe serpentyny, pozostałość z karnawału. Ze ściany spoglądał sowim okiem wymalowany kredkami orzeł. Józefkowa, przywitawszy się z dziewczyną, uklękała*

²⁰śniegułka — kwitnąca wczesną wiosną roślina o białych kwiatach i wąskich liściach; przebiśnieg, śnieżyczka. [przypis edytorski]

²¹„Kuźnica” — tygodnik społeczno-literacki zrzeszający twórców o poglądach lewicowych, marksistowskich (m.in. Mieczysław Jastrun, Zofia Nałkowska, Leon Kruczkowski, Jerzy Putrament, Jan Kott, Kazimierz Brandys, Adam Ważyk), wychodzący w l. 1945–1950 w Łodzi, a nast. w Warszawie pod red. Stefana Żółkiewskiego, a od 1948 r. Pawła M. Hoffmana, w 1950 r. połączony z tygodnikiem „Odrodzenie” (1944–1950) w jedno czasopismo „Nowa Kultura”. Na łamach „Kuźnicy”, nawiązującej do tradycji realizmu, racjonalizmu i dydaktyzmu, toczyły się m.in. dyskusje na temat roli i statusu inteligencji. [przypis edytorski]

²²I Armia Wojska Polskiego — armia gen Berlinga, utworzona 29 lipca 1944 na mocy dekretu Krajowej Rady Narodowej z sił polowych I Armii Polskiej w ZSRR sformowanej 16 marca 1944, operacyjnie podporządkowana dowódcom frontów Armii Czerwonej, szlak bojowy zakończyła w maju 1945 wyjściem na brzeg Łaby i szturmem części swoich oddziałów na Berlin. [przypis edytorski]

przy dziecku, które siedziało na ławce, i wzięła jego rączki w swoje dłonie. Przesunęła palcami po ramieniu dziecka i delikatnie rozpięła mu kubraczek, i zdjęła koszulkę. Nagle wstała, podniosła dziecko i powiedziała:

— Patrzcie, jak skutkują lekarstwa pana Stasinka.

I pokazała im plecy dziecka pokryte strupami zastarzałego świerzbu, zaklejonymi strzępami papieru.

— Kwalifikuje się? — zapytał prokurator Zabiega naczelnika z UB.

— Wasz resort! — odparł tamten.

— No, to zabieraj się, kochaneńki, z nami — powiedział śpiewnie prokurator Zabiega do oniemiałego administratora i zatarł ręce. — Pomieścimy się w aucie wszyscy.

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu i wyjechaliśmy za bramę.

— Jak to powiada pan Stasinek? — przypomniał sobie prokurator, gdy wyjechaliśmy na wzgórze i pożegnany spojrzeniem obejmowaliśmy folwark Pokrzywki. — „Śmierć frajerom”, mówi on? No to: śmierć frajerom!

Zemsta

Śmierć frajerom. Ciąg dalszy

— Śmierć frajerom! — zawtórował pogodnie pan Stasinek, powróciwszy sypialką do B. Odbył w filii filmowców ważne rozmowy polityczne, zabrał z Warszawy delegata na wizytację majątków i ugadywał go przez drogę. Rano zostawił go w hotelu, przybiegł na ósmą do biura, pokręcił się po pokojach, roześmiany, opalony, tryskający zdrowiem i energią, zajrzał do personalnego i do osiedleńczego, wpadł do stołówki i pokręcił nosem, że zupa za cienka, przejrzał akta, sprawdził rachunki, podyktował sekretarce korespondencję, odbył kilka konferencji na mieście, powąchał sprawę Pokrzywek, wzdrygnął się trochę, niczego się nie dowiedział i musiał się zadowolić wyjaśnieniem, że dzieci spaliły zabudowania, a administratora posadzono, do wyjaśnienia. Po czym, zmęczony i rozgrzany kilku wódkami, poprosił panów członków komisji rewizyjnej na małe zebranko.

— Słuchajcie no, ludkowie — powiedział, zacierając ręce wystające z przykrótkich rękawów cągowej²³ marynareczki i popijając cieką herbatkę, która parzyła mu wargi — do walnego zebrania zostało jeszcze trzy miesiące, więc po co krzeselka z przerażenia łamać? Ja muszę kupę spraw załatwić w Warszawie i naprawdę nie mam czasu zajmować się duperelami, tymi wszystkimi spisami, rachunkami, księgami, asygnatami i czort go wie czym jeszcze... Wynająć buchaltera i niech się grzebie. I tylko mu pomóc, nie?

— Właściwie prezes jest odpowiedzialny za stan ksiąg i w ogóle — powiedział z wahaniem członek komisji.

Pan Stasinek spojrział ironicznie na członka.

— A zarząd rączki umyje i do domu lulu, nie? Pan wiceprezes chciałby szyszką w partii być, a tutaj, w związku, na mnie wszystko zwala, tak? Pan sekretarz swoje interesiki przez teściową załatwia i do roboty się nie bierze. I znowu ja winien, tak? A wyście gdzie byli przez te trzy kadencje zarządu? Spali, nie? I mleczko popijali. Trzeba sprawozdanie wyszykować na walne zebranie i gadania nie ma. Manka nie może być ani w ksiązkach, ani w magazynie. Wszystko trzeba wyrzucić na sto dwa!

— A co z tymi Pokrzywkami?

— Przecież wicie lepiej ode mnie, co. Dzieciaki spaliły. Konie się spiekły, krowy. Nieszczęście.

— Ludzie różnie gadają.

— Ludzie zawsze gadają — przeciął pan Stasinek.

— Znaczy się, musicie, prezesie, wygotować sprawozdanie, kieszeń musi być czysta.

— Trzy lata robiłem i nikt mi ani w kieszenie, ani w zęby nie zaglądał. A teraz, jak odchodzę do Warszawy, to wszyscy huzia na Stasinka? — Pan Stasinek podniósł się zza stołu i stanął naburmuszony przy oknie.

„Cholera go wie — pomyśleli członkowie komisji — co on ugadał w tej Warszawie. Taki to zawsze wylizie, ma znajomości, z każdym popije i pogwarzy, a potem człowieka utraci”.

²³cągowy (z niem. Zeug: tkanina) — tkanina bawełniana a. wełniana o splocie skośnym łamanym, cechująca się wytrzymałością i z tego względu używana do wyrobu odzieży roboczej. [przypis edytorski]

— Niech inni popracują jak ja — ciągnął pan Stasinek — a dopiero zobaczą, jak to słodko. Niejednemu główka poleci. No, panowie, ja sprawozdanie wygotuję jak ta lala, ale nie wtykajcie nosa w nieswoje sprawy. I chodźcie na obiad, bom głodny.

Poszli hurmą do restauracji pana Olejnika, przywitali się z prokuratorem Zabiegą, który wyjeżdżał w teren, zamówili suty obiadek i dokończyli konferencji.

Po południu pan Stasinek wyjechał z delegatem warszawskim do majątków. Obejrzeni pałacyki, z których, jak wzdychając zapewniał pan Stasinek, meble zabrali szabrownicy i w ogóle rekwizycja; przeszli się po polach, oglądali orkę pod kartofle, odbyli zebranie związkowe, znowu wsiedli w samochód, ominęli z daleka nieszczęsne Pokrzywki i pojechali do pokazowego majątku, 80 km od B., na dziki. Zaparkowali wóz, wzięli od administratora po dubeltówce i poleżli wieczorkiem na stanowisko. Gadali o związku; pan Stasinek nalegał, aby go przeniesiono do Warszawy, do zarządu głównego. Ma już dosyć gnicia w B. Trzy lata! Kawalek życia! Dla polityka to samobójstwo siedzieć na prowincji! Delegat, młody chłopak z I Armii, który pracował przy oczyszczeniu portu w Szczecinie, a potem przeszedł do roboty związkowej, nienawidził papierków i biurka, marzył o przejściu do produkcji i patrzył na pana Stasinka, jak sowa patrzy na wychylającą się z nory mysz. Przecież, uświadamiał go cierpliwie, nadchodzą wielkie zmiany w życiu związków zawodowych. Dotychczas w związkach gdzieniegdzie panoszyły się tradycje przedwojenne, socjaldemokratyczne, bonzowskie²⁴, ba! nawet klerykalne. Inni działacze traktują związki jako instytucje równorzędne z partiami robotniczymi, niezależnie od władzy ludowej, pełne nieufności do niej.

Szli miedzą pod cieniem sosen. Zapadał już zmierzch. Jeszcze godzinka, półtorej i dziki wyjdą na żer. Mieli dosyć czasu, przedzierali się więc spacerkiem do wyżki panującej nad polem.

— Brakowało, żeby jeszcze partie kierowały życiem związkowym! Nikt się w związkach na to nie zgodzi! Komenda partyjna? Ho, ho, ho!

— Żadna komenda! — przerwał delegat — Partia nigdy nie komenderuje związkami, ale może udzielać poleceń swym członkom, którzy pracują związkowo, i w ten sposób wpływać na ich politykę. A ci przekonają innych, że droga partii jest słuszna. Bo tę słuszność potwierdza życie, obywatelu prezesie.

— Pewnie, pewnie, pewnie — zgodził się pan Stasinek.

Wdrapali się na wyżkę, obejrzeni pole obstrzału, położyli strzelby na parapecie i zapalili papierosy, aby odegnąć komary.

Delegat mówił dalej:

— Jeszcze w związkach dużo gnoju trzeba uprzątnąć. Reformizm, klerykalizm, zaślepienie. A przeróżne kacyki! A całe gniazda dywersyjne! Oczy człowiekowi wylażą ze zdumienia, jak się na to patrzy! I ręce świerzbią! A nieraz trzeba czekać. Ten ma wujka, ten ma stryjka, tamten przedwojenne zasługi. Bo przewrót majowy²⁵ pomagał robić! Ej, żebyż prędzej zjednoczyć nasze partie robotnicze! Wtedy ruszy robota!

— Cóż my, działacze związkowi, będziemy mieli wtedy do roboty? — spytał nieco rozdrażniony pan Stasinek.

— A szkolić ludzi w codziennym realizowaniu zasad socjalizmu? Mobilizować masy do stałego podnoszenia produkcji i wydajności pracy? Planowo oszczędzać? Zaspokajać potrzeby mas? Poprawiać im byt i warunki pracy? Opiekować się poszczególnym człowiekiem, tym naszym największym kapitałem? Walczyć z wrogiem klasowym, z dywersją i sabotażem? Związki zawodowe, panie Stasinek, to wielka szkoła socjalizmu i tylko zahartowani działacze mogą się w niej ostać.

— Nam tu, na Ziemiach Odzyskanych, hartu nie brakło — rzekł półgębkiem pan Stasinek i ścisnął kurczowo ramię delegata. — Patrz pan, jak babcię kocham, dziki! Strzelaj pan, strzelaj pan!

²⁴bonzowski — przym. od: *bonza*: człowiek zajmujący wysokie stanowisko, niedostępny, wyniosły; szycha (pierwotnie: buddyjski duchowny w Chinach i Japonii). [przypis edytorski]

²⁵przewrót majowy — zbrojny zamach stanu w Polsce dokonany w dniach 12–15 maja 1926 r. w Warszawie przez oddziały dowodzone przez marszałka Józefa Piłsudskiego. W wyniku konfliktu zginęło łącznie 379 osób, a około 1000 osób zostało rannych. Efektem puczu było podanie się do dymisji rządu Wincentego Witosa, złożenie urzędu przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, ograniczenie prerogatyw parlamentu i swobód demokratycznych oraz przejście władzy przez obóz sanacyjny. [przypis edytorski]

Delegat podniósł dubeltówkę, przycelował, nacisnął cyngiel. Echo strzału rozniosło się po lesie. Dzilki zawróciły i pierzchnęły w las. I tyle ich było widać.

— Cholera jasna! — zaklął delegat. — Już go na muszce miałem. Fuzja do luzu!

— Trzeba nam było wziąć drylingera — rzekł pan Stasinek. — Drylinger — dobra sztuka. Każdą zwierzynę położy. I nie podrzuca jak koń nogą.

Zleźli z wyżki i ponuro poczłapali do folwarku. Pan Stasinek ciągnął uprzejmie konwersację:

— Ja myślę, że każdy działacz powinien po przejściu stażu na prowincji, w terenie, iść coraz wyżej, aż do zarządu głównego. Przecież tu marnują się ludzie, którzy nie mogą rozwinąć się, bo gdzie? W B.? Czterech ludzi na krzyż, dwa folwarki w okolicy, poczta, dworzec i Urząd Bezpieczeństwa — i masz całe B.

Delegat zgodził się mrukliwie, że B. to dziura, ale nic konkretnego nie obiecał. Na oglądanie innych folwarków czasu im nie starczyło, gdyż samochód pana Stasinka się popsuł i szofer całą noc porał się z motorem. Powrócili do B. nad ranem, zmordowani i senni, prosto udali się do restauracji pana Olejnika, gdzie pan Stasinek zamówił gorące, dobrze zakrapiane śniadanko. Po czym zaszli jeszcze do sekretariatu i tam delegat zobaczył wreszcie tego wspaniałego drylingera, który filuternie wystawał z szafy.

— O, jaka ładna dubeltówka! — zawołał z zapalem i wziął strzelbę do ręki.

— To nie dubeltówka, szanowny towarzyszu, to dryling — odpowiedział fachowo pan Stasinek. — Dwie lufy na śrut, trzecia, ta w dole, na kulki. Nie tylko dzika, słonina tym ukatrupić można!

— Czemu nie oddacie tego do majątku? Administrator mówił, że dziki okropnie niszczą oziminy — spytał delegat.

— Administrator ma swoją fuzję, tylko, bestia, nie chce jej używać — zaśmiał się pan Stasinek.

— Ach, tak? To po co ten grat ma tu sterczeć?

— Chcecie, to go wam dam, niech stracę — i szczerym gestem wsadził mu w łapę drylingera. — Ludzie mi znosili. Dobro za dobro.

— No, jeżeli tak — rzekł z wahaniem delegat

— Jasne, że tak! — zawołał z pijacką wylewnością pan Stasinek.

Sekretarka podniosła na nich oczy znad maszyny i nic nie powiedziała. Niechby spróbowała. A szkoda, że nie spróbowała. Bo wtedy strzelba nie powędrowałaby na biurko naczelnika Urzędu Bezpieczeństwa i delegat nie kiwałby głową: „Ależ wy aktywni związkowcy macie, no, no. Czort w tym bałaganie się nie rozeznaj!” „Przyjdzie czas, to się rozeznajemy, nie martwcie się” — odpowiedział naczelnik i wstawił drylingera do szafy. Pogadali, pogadali i rozeszli się, trochę zmartwieni.

Kiedy chcesz, żeby cię nie zauważyli, nie włączaj na szczudła. Gdy pracujesz, ludzie patrzą Ci na ręce. Ty też przecież patrzysz na ręce ludzi. Szpilki, człowieku, nie ukryjesz, a cóż dopiero swojego życia. Kontrola społeczna to tysiąc czujnych oczu. Najlepiej osądzą człowieka, byle tylko tysiąc ust chciało przemówić. Ale usta nie zawsze chcą mówić, czasem się boją, czasem się krzywią pogardliwie, czasem się lenią. Toteż w B. dziwno się powszechnie, ale szepciem, skąd pan Stasinek bierze forsy na utrzymanie takiej drogiej kobiety jak Dorotka. Obliczano, że samo siedzenie u fryzjera pochłania miesięcznie kilkanaście tysięcy złotych, a pielęgnacja twarzy, a masaże, a prześliczne stroje, a mieszkanko, a wyjazdy do Krynicy i Zakopanego, nie mówiąc już o jedzeniu — toż to trzeba mieć porządny sklep, aby wydatki opędzić, a nie być płatnym urzędnikiem, choćby nawet i prezesem. Ale wiadomo, jak to inteligenci. Pogadają po kątach, poszepczą, pośmieją się, poplotkują, żony trochę pozadzroszczą, a w oczy się przymilają i na zebraniach nabierają wody w usta. Lubią mówić, ale przy wódce. Dawniej gadali przy brydzu. A zebrania związkowe czy partyjne — to zło konieczne, nuda, wyczerpująca nasiadówka. Zadymona sala, półalfabeci, którzy żadnego języka nie znają, a gadają o demokracji ludowej, jakby uniwersum skończyli. Mimo to jednak nienawiść do pani Doroty wzbierała wśród inteligentów w B. po kryjomu jak wrzód. Zaciskano zęby, kiedy wyniosła i „zimna jak lód” pokazywała się w majątkach, zabierała pana Stasinka z biura na wycieczkę

Sąd, Milczenie

po województwie, bo była ciekawa rozmaitych rzeczy. Oglądała, wypatrywała, uczyła się, przygotowywała się do przyszłej roli protektorki i filantropki, która — jako żona posła — będzie kiedyś jeździła po biednych wsiach swego okręgu, rozmawiała z gospodyniami wiejskimi, ocierała brudne buziaki dzieciom, rozdawała dziewczynkom cukierki i kiwała dłonią z odjeżdżającego auta zebranych na podwórzu chłopcom. Coś z tych plotek musiało docierać do pana Stasinka, gdyż nalegał, aby prędzej przeprowadziła rozwód.

Cóż, kiedy sama pani Dorota była jakby niezdecydowana. Lubiała, raz się sprzedawszy, jeszcze się trochę pocenić. „I diabeł tej kobiety nie zrozumie — myślał czasem zrozpaczony pan Stasinek. — A jednak śpi ze mną” — pocieszał się i cierpliwie zarabiał na wyższe stanowisko.

Tak czy owak, wojewódzkie miasto B. pełne było plotek o panu Stasinku. Pan Stasinek troszkę się złościł, ale w gruncie rzeczy je lekceważył. Miał napięte rozmowy z Warszawą, przeprowadzał duże kombinacje handlowe dla związku, gadał i z sekretarzem partii, i z naczelnikiem, i z prokuratorem przy kieliszku. O przyszłość się nie troszczył, zebranie podszykował, klepał znajomych po ramieniu. No i na co mu się to przydało? Na nic. Bo na ważnym zebraniu pan Stasinek dowiedział się ze zdumieniem, że w miasteczku o wiele więcej wiedzą o nim, niż mógł on przypuszczać. Tak, tak, jeżeli chcesz, żeby ciebie nie zauważyli, nie pchaj się na szczudła.

Złaź ze szczudła

Walne zebranie Związku Zawodowego Samorządowców województwa B. odbyło się, jak wiemy, w lipcu. Od wiosny pan Stasinek siedział w biurze, porządkował papiery, przeprowadzał transakcje, urabiał ludzi i coraz to wyskakiwał na kilka dni do Warszawy, gdzie chodził od zarządu głównego do Dorotki i z powrotem. Dorotka była mu chętna, zarząd o wiele mniej — i wyjazd do stolicy na wyższe stanowisko stanowczo się odwlekał. Wobec tego pan Stasinek zaczął przemyślać o ponownym wyborze swym na prezesa związku. Lepiej mieć związek w garści niż kanarka w Warszawie.

Stołówkę związku ozdobiono na ten dzień portretami dostojników państwowych, hasłami z wyciętych liter, powieszono na ścianie gazetkę Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, wymyto podłogę i ławki. Na scenie, która mogła służyć zespołowi artystycznemu, ale nie służyła, bo takowego nie było, ustawiono parę krzesłek i wielki, nakryty obrusem stół. Pod wieczór zaczęli zbierać się delegaci i z wolna rozsiadali się w ławach. Kiedy sala się zapełniła, zaświecono wszystkie lampy i pan Stasinek w otoczeniu zarządu wszedł na scenę. Po zwykłych formalnościach odczytał krótkie sprawozdanie zarządu i skomentował je własnym, ognistym przemówieniem, mniej więcej takim:

— Związek nasz jest najlepiej zorganizowany w całym B. Jako pierwsza organizacja społeczna po wojnie, na tych odzyskanych dla macierzy polskiej ziemiach, była załączkiem władzy ludowej. Uczyniła z nas jedną wspólną rodzinę. W niej wszyscy są sobie braćmi i siostrami. W niej — jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Ona pomagała każdemu, kto się do niej zwrócił. Pewnie, nie zawsze może umiejętnie gospodarzyła, ale przecież człowiek wyrabia się w robocie, w konkretnej działalności, i nie ma się co wstydzić błędów. Ale nawiązaliśmy piękne współzycie z autochtonami i pozyskaliśmy wielu ludzi dla ojczyzny. Z Warszawy przyjeżdżali i podziwiali nas, mówili, że takiego związku jak nasz nie ma w całej Polsce zachodniej. Nie byłoby to możliwe bez obywatelskiego stosunku do pracy związkowej całego zarządu, któremu na tym miejscu, jako jego prezes, wyrażam podziękowanie za pomoc i lojalność.

— Pewnie, że pomagał! — krzyknął młody robotnik z elektrowni, który przyszedł na zebranie, jak to się mówi, z ciekawości. Roześmiał się bezczelnie.

— A folwarki dawały dochód? — zapytał rzeczowo inspektor terenowy Rady Narodowej.

— Folwarki przejęliśmy w stanie zdewastowanym — odrzekł godnie pan Stasinek. — Bez maszyn, bez ludzi, bez bydła. W dworach nie było mebli. Jak przyjechali ludzie, to nie mieli na czym spać.

— Boście meble pokradli! — krzyknięto z sali. Zrobił się gwar, padły jakieś pytania, ale na dzwonek wszyscy umilkli.

— Zabudowania gospodarcze były popalone — ciągnął pan Stasinek. — Mamy dopiero trzy lata po wojnie. Sprowadziliśmy trochę bydła i koni.

— Które sprzedaliście po kryjomu! — krzyknął fornał z Pokrzywek.

— Które spaliły się podczas pożaru, obywatelu, boście nie pilnowali majątku — powiedział spokojnie pan Stasinek, ale szczeka zaczynała mu latać. Opierał się o stół rękoma, które wylazły z przykrótkich rękawów cajkowej marynarki, poprawił sobie krawat i wyprostował się. — Wyremontowaliśmy jako tako pewną ilość maszyn i prowadziliśmy jak najoszczędniej gospodarkę. Czego jeszcze chcecie? — zapytał gburowato.

— Można było mniej jeździć po Krynicy, a więcej siedzieć na tyłku w B., to byłoby jeszcze oszczędniej — odpowiedział zapytany i sala wybuchnęła śmiechem. Pan Stasinek pobladł, zrozumiał, że stoi na ośliszej kładce. Ale odparł mocnym głosem:

— Jak obywatel będzie na moim stanowisku, to będzie się rządził po swojemu; na razie ja odpowiadam za całość roboty. Nieraz trzeba i do Krynicy jechać na konferencję z kimś ważnym. Ot co.

Nastrój pozytywny wrócił na chwilę i zebrani uspokoiли się. Nie wszyscy rozumieli, o co gra się toczy, ale podniecenie sąsiadów im się nie udzielało. Pan Stasinek też jeszcze nie pojmował. „Jeżeli co mają przeciw mnie, to czemu wywlekają dopiero na zebraniu? — myślał, siedząc z opartą na dłoni głową. — Przecie mogli o wiele wcześniej zadziałać. Ale widocznie nic nie mają i macają po ciemku. Tylko kto jest ten wróg? Do koni nawet UB się nie czepiało. Spaliły się razem z krowami, trudno, nasza strata. Trzeba było pilnować”. Tak głowił się pan Stasinek, a przewodniczący zebrania otworzył dyskusję nad sprawozdaniem zarządu. Pierwszy podniósł się sekretarz zarządu, pracownik Rady Miejskiej. Podszedł do stołu, zdjął rogowe okulary, machinalnie przetarł je palcami i powiedział:

— Ja, obywatele, będę mówił prosto. Przez dwa lata nasz zarząd, nie wiem, czy odbył ze trzy zebrania. Raz się ukonstytuował, potem długo, długo nic, potem raz zatwierdził sprawozdanie prezesa (to było w tamtym roku), potem znowu ten zarząd wybrali, znowu się ukonstytuował, a potem — to już nie mieliśmy żadnych zebrań, aż do dzisiaj. Wszystko szło na gębę, bez protokołu i pieczętka. Faktycznie urzędowało się albo u Olejnika, albo na korytarzu. Prezes latał i mówił: „Wiecie co, podpiszcie ten papierek, bo trzeba wysłać do centrali”, albo: „Wyjeżdżam do Warszawy na trzy tygodnie, zastąpcie mnie w robocie”, a w czym zastąpić, jak nikt nie wie, co się robi, ile pieniędzy wychodzi i gdzie? Każdy z członków zajął się swoim odcieczkiem pracy, a całość — niech pan prezes decyduje. Aby do wiosny. A od wiosny do jesieni. I żeby się tylko nikt nas nie czepiał. No i doczekaliśmy się. Czegośmy się doczekali, obywatele? Niedbalstwa, obywatele, marnotrawstwa, obywatele. I jeszcze gorzej. Sabotażu doczekaliśmy się. Dopiero teraz wychodzi na jaw to i owo. Każdy z nas coś widział, każdy coś słyszał, ale ręką machał.

Mówiło się: gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą. Ale się nie patrzyło, do czyjej kieszeni te wióry lecą. A to jakiś tłuszcz, bagatelka, sto kilo; a to parę tysiączków dla przyjaciela, który się rozwodzi, a to rachuneczki za wyjazdy przez trzy lata niesprawdzone, a to podpalenie zabudowań w Pokrzywkach, niby przypadek, ale jakiś dziwny.

A te konie? Ludzie tyle mówią, że mi się w głowie kręci. Mówią, że administrator część koni sprzedał, część się spaliła. Mówią jeszcze więcej, a co to znaczy, że mówią? Znaczy to, że nie działaliśmy dobrze, że wpuściliśmy między siebie wrogów i dywersantów. Albo to, że majątki nie przynoszą dochodu. I trzeba jeszcze dokładać z zasiłków państwowych. Przecie państwo ludowe dało nam tę ziemię, żeby nam było lżej, żebyśmy mogli przetrzymać te głodne lata, a nie, żebyśmy wciąż wyciągali ręce jak żebraki. Masz, a nie umiesz gospodarzyć.

Marnujesz dobro społeczne. Znaczy — szkodzisz narodowi. Bo kto ma nam dać? Ten polski górnik, co pod ziemią siedzi? Ten polski hutnik, co robi mosty dla Warszawy? A może nam mają dać buraków i kartofli ci, co lepiej gospodarują? Ja, obywatele, uważam jedno: nasz zarząd nie umiał pracować, nie dopatrywał gospodarki i trzeba go wyrzucić won — albo i jeszcze gorzej. A ci, co chcą pracować, powinni pracować; na pewno potrafią. Ja nie zabieram głosu, obywatele, dlatego, że jestem niewinny; tak samo nie umiałem robić jak inni. Ale mnie się wydaje, że już dosyć tego.

Pan Stasinek zerwał się z miejsca i zawołał:

— Tak nie można, panie kolego! Trzeba było składać zażalenia na zarządzie, a nie uprawiać demagogię na zebraniu. Pewno, żeście nic nie robili. To każdy wie. Pewno, że nie będziecie w nowym zarządzie.

Walka klas, Sprawiedliwość

Uderzył pięścią w stół i usiadł z trzaskiem.

Ludzie zaczęli głośno krzyczeć i wołać, zrobił się prawdziwy tumult. Przez gęsty dym papierosów nic nie można było zobaczyć, ludzie wstawali z miejsc, machali rękoma, wspinali się na ławki, przewodniczący dzwonił wytrwale dzwonkiem, a znad głów prezydium spoglądał na salę mądry, uśmiechnięty jakby z ironią — wielki Lenin.

Wreszcie uciszono salę i głos zabrała urzędniczka z biura pana Stasinka.

— Ja mam tylko jedno zapytanie do zarządu: przepisując sprawozdanie inwentarzowe zauważyłam, że nie ma w nim mowy o drylingerze, który pan Stasinek dał jednemu panu z Warszawy, delegatowi czy jak mu tam. Przecież drylinger był przeznaczony na dziki? Więc proszę zarząd o wyjaśnienie.

Kierownik stołówki:

— Czemu nigdy nie otrzymywałem rachunków z interesów, które zarząd związku prowadził w imieniu stołówki z restauratorem kolejowym? Zawsze dostawałem polecenie przez telefon, to dobra metoda, bo papierki nie zostają. Ileśmy wydali przez ten czas, to nikt nie zliczy. Ja myślę, że koło stu kilo tłuszczu, kilkadziesiąt kilo kawy i parę kilo herbaty, a mąki, a mięsa, a kartofli. A paczki. Niby na pokrycie wydatków reprezentacyjnych. Pan prezes mówił: „Człowieku, nie wtrącaj się do nie swoich spraw, pilnuj nosa, żeby ci nie odpadł”.

I gdzie miałem pójść, i komu powiedzieć? Bałem się i tyle. Ale myślę, że teraz nie ma się o co bać. Minęły czasy, kiedy każdy rządził, jak chciał.

Fornal z folwarku Pokrzywki, członek partii:

— Myśmy, obywatele, nieraz już mówili, że z tym zarządem trzeba raz zrobić porządek. Ale partia ma cierpliwość: a nuż człowiek raz pobłądził, zalazł jak krowa w szkodę, a potem oprzytomniał? Ale, widać, tuśmy za długo patrzyli. Wina największa towarzyszy, którzy siedzieli w zarządzie i dawali się trzymać za nos. Pan Stasinek założył im kółka w nos i wodził ich jak byków naokoło swoich spraw. Nie przeszkadzajcie, obywatelu Stasinek, teraz ja mówię. Wyście już dosyć gadali. Więc: doprowadziliśmy majątki do użytku, uprawialiśmy, dawały przecie niektóre jakie takie pieniądze. Gdzie są one? Gdzie one są? Gdzie są kwity i rachunki? W kieszeni u pana Stasinka. Pan Stasinek chce, żebyśmy go znowu wybrali na prezesa, chce nam prezesować, reprezentować nas, zarządzać nami. Reprezentować w Zakopanem to on potrafi, ale czy był on kiedy na roli i wie, jak wygląda nasza robota? Bywało, przejedzie samochodem z kobietą, połazi po pustym pałacu, zajdzie do stajni, konia pogłaszcze, papierosem stajennego poczęstuje, a potem obiadek i albo do łóżeczka, albo w samochód i dalej, na drugi koniec szosy, do drugiego majątku, na kolację. Kobicie to się musi podobać, ale nam mniej. Skończyłem.

Członkowie zarządu siedzieli z pochylonymi głowami, za stołem zasłanym czyściutkim obrusem, i bali się spojrzeć na salę. Pan Stasinek, okazuje się, rządził, jak chciał, a oni nie mówili przez cały boży rok. Ładna historia.

Kiedy listę mówców wyczerpano (a było ich sporo), przewodniczący zebrania, były skarbnik pana Stasinka, zaproponował polubowne załatwienie sprawy: ponieważ wiadome było, że pan Stasinek odejdzie wkrótce na wyższe stanowisko do Warszawy, proponuje się uchwalenie absolutorium ustępującemu zarządowi i przystąpienie do wyborów, przy czym na prezesa on, przewodniczący, pozwoli sobie zaproponować... I podał nazwisko dotychczasowego wiceprezesa związku, który ponuro bębnił palcami po stole.

Może by i wniosek przeszedł, bo ludzie byli pomęczeni i nie mieli jeszcze wprawy w walce przeciw klice, ale ze szkodą dla pana Stasinka wnioskowi przeciwstawiła się komisja rewizyjna, z którą jeszcze niedawno pan Stasinek popijał u Olejnika. Ale komisja komisją, i swoje chciała zrobić. Sekretarka nie mogła jej wydać ksiąg, ponieważ pan prezes był w Warszawie. Proponuje się więc ze względów formalnych zebranie w nowym terminie, mianowicie za miesiąc. Przez ten czas komisja rozpatrzy również zarzuty postawione prezesowi związku przez walne zgromadzenie. Wniosek po burzliwej dyskusji przyjęto i zebranie zamknięto. Było już po północy.

— Ciężki miesiąc czeka pana, panie prezesie — powiedział przewodniczący, kiedy schodzili nareszcie z estrady. — Dużo roboty buchalteryjnej. W samo najpiękniejsze lato. Ale niech pan choć wszystko doprowadzi do porządku. Bo skóra na człowieku cierpnie, jak się słucha, co ci ludzie wygadują.

Pan Stasinek ocierał pot z czoła i z trudem przepychał się przez milczący tłum.

— Śmierć frajerom! — zawołał wesoło. — Da się radę. Gorzej było przed laty, kiedy człowiek musiał sam wszystko robić. Pamiętacie, jak siedzieliśmy tu we dwóch i robiliśmy Polskę? Teraz niech się ludzie nauczą, że także trzeba głową pokręcić: skończyły się dobre czasy. — Pan Stasinek poszedł dalej, na państwową robotę.

W drzwiach stolówki zastąpił im drogę prokurator Zabiega.

— Przysłuchiwałem się dzisiejszej dyskusji — powiedział przyjaźnie, skubiąc wąsika, który mu się wysypał nad wargą i dodawał wiele powagi. — Rusza się naród, wypowiada swoje zdanie, nie boi się. Dojrzewa do rządzenia.

— Zazdroszczą człowiekowi — odparł krótko pan Stasinek. — Do gadania to ich wielu, ale do roboty nikogo. Sam, człowieku, myśl za wszystkich, jakby to nie ludzie, a nie przymierzając — krowy. Nic dziwnego, że czasem człowiekowi noga się powinie. Zapomni czegoś, nie wypisze asygnaty, zgubi kwit. I wtedy wszyscy nagle mądrzy. Huzia, bij, zabij! No nie?

— No tak — odpowiedział w zamyśleniu prokurator Zabiega i popatrzył na pana Stasinka zmrużonymi oczyma. — Wie pan co, panie Stasinek? Są tam jakieś niedokładności w związku? Zaniedbanie gospodarki, sabotażyk, wyjazdy i przyjazdy nie wiadomo z kim, handelki? I te brzydkie konie, aj, aj, aj! Cóż to znowu za historia?

— Żadna historia. Ludzie dużo lubią mówić — prychnął pan Stasinek. — Konie nie są najważniejsze. Były chore i tak. No, prokuratorze, czas nam iść spać, bo człowiek się narobił jak w tartaku. Tęsknię do swego łóżeczka.

— Boję się, że będzie pan dzisiaj niewygodnie spał — powiedział prokurator, nie ruszając się spod drzwi. Pan Stasinek spojrział na niego i zrozumiał. Pokręcił niecierpliwie głową, jakby go uwierał przyciasny kołnierzyk, wsunął ręce do kieszeni cajkowej marynarki i zagryzł wargi. Chwilę się namyślał, wreszcie przełknął ślinę i uśmiechnął się swym serdecznym, szczerym, ujmującym uśmiechem: „śmierć frajerom”.

— Co to, to nie. Ja łóżko mam wygodne.

— E, panie Stasinek, po co te komedie? — spytał ubawiony prokurator. — Będę musiał zatrzymać pana. Trzeba wszystko wyjaśnić, od Adama i Ewy. Wszyscyśmy strasznie ciekawi.

Pan Stasinek spoważniał, odstąpił krok w tył i wyjął ręce z kieszeni

— Jestem aresztowany? — zapytał z pogrózką w głosie. — Czy pan wie, co pan robi?

— Nie pierwszy raz i nie ostatni — powiedział z westchnieniem prokurator i kiwnął dłonią na milicjanta.

Śmierć frajerom. Jeszcze ciąg dalszy

Kiedy przyjechałem do B. na proces pana Stasinka, miasto tonęło w śniegu. Rozłożone na łagodnych wzgórzach, mieniące się w słońcu czerwonymi dachami, jaśniejące strzelistymi topolami, na których skrzyły się białe czapy szronu, miasteczko było ciche i spokojne, jakby już zapomniano o sabotażystach. Któż by tam o nim pamiętał. Nawet miejscowy dziennik podawał tylko krótką wzmiankę z procesu. Koło dworca brodziły poważnie wrony między sankami dorożkarzy. Wsiadłem; dorożkarz trzasnął batem, koń parsknął, dzwoneczki zadźwięczały cieniutko, wrony uleciały z krzykiem — i pojechaliśmy do sądu.

Sąd okręgowy mieścił się przy rynku. Przejechać nie można było: odbywał się cotygodniowy jarmark, tym wrzaskliwszy, że przedświąteczny. Zapobiegliwe gospodynie robiły zapasy, choć dopiero połowa listopada; ładowały w koszyki cebulę, grzyby suszone, mak, mąkę. Popatrzyłem chwilę na tłuste króliki i zające zwisające z drabiniastych wozów, na wielkie gary śmietany i bańki mleka, na kramiki z obuwiem, wstążkami, lampkami naftowymi i dewocjonaliami, zapłaciłem wąsatemu dorożkarzowi i wbiegłem na pięterko, gdzie urzędował sąd. Przepchałem się energicznie przez tłumek, który wałęsał się po korytarzu, wpisałem się do księgi i stwierdziwszy, że nie świadczę w sprawie pana Stasinka, wsunąłem się na salę rozpraw i przykucnąłem na skrawku ławy. Rozejrzałem się: w sali było duszno i ciemnawo. Stłoczeni w ławach widzowie palili bez przerwy i dym snuł się po izbie. Byli to chłopcy z majątków i pracownicy ze związku, którzy przyjechali specjalnie na rozprawę. Tak zdobywali uświadomienie klasowe i poznawali władzę ludu.

Pod przeciwległą ścianą ogromnej sali, urządzonej z dwu pokojów, między którymi wyjęto przegrodę, stał stół sędziowski, z boku przystawiono stolik prokuratora, pod

oknem zaś znajdowała się ława oskarżonych. Pan Stasinek stał wyprostowany w ławce, był nieogolony i wychudły i nie miał już wyglądu „śmierć frajerom”, który mu przez tyle lat zdobywał zaufanie i sympatię. W wymiętej cajgowej marynarczynie, przestraszony i zmieszany, wyglądał na tuzinkowego urzędnika, który ukradł z kasy pięćset złotych, aby się „zabawić”, i teraz bardzo tego żałuje. Przed ławą oskarżonego siedział siwy, jowialnie uśmiechnięty pan w złotych okularach, przeglądał mechanicznie papiery i z wielką wprawą operował ołówkiem.

Adwokat warszawski! Niejednemu już potrafił zmniejszyć wyrok, a nawet, jak mówiono, tego i owego umiał wyciągnąć sprzed kratki. Legenda wyolbrzymiała fakty na zgubę spekulantom i sabotażystom. Obok oskarżonego stał cierpliwie milicjant z rękoma założonymi na plecy i z paskiem służbowo wciśniętym pod brodę. Kolegium sędziowskie tworzyli: przewodniczący ozdobiony złotym łańcuchem, łysy starzec o dobrotliwym spojrzeniu człowieka, który już niejedno widział, działacz ze związku zawodowego, robotnik z gazowni miejskiej, ponury i zacięty, oraz robotnica z tartaku, przodownica pracy.

Oskarżenie wnosił prokurator Zabiega, zapracowany i chudy jak głodna czapla.

Przewodniczący (przeciągając z wileńska): Więc oskarżony sprzedał te czternaście koni bez licytacji, po kryjomu?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, bez.

Przewodniczący: To bardzo niedobrze, oskarżony, to bardzo niedobrze. A do kasy oskarżony żadnych pieniędzy nie włożył za te konie? Czy może włożył?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, mnie związek zawodowy był winien pewne sumy. Warszawa obiecała mi pożyczkę na ożenek i ja dlatego... Za te konie.

Przewodniczący: Znaczący się, nie włożył. Czy oskarżony wie, jak to się nazywa, gdy ktoś nie ma prawa zabierać społecznej własności, a zabiera?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, ja nie wiem.

Prokurator: W związku z tymi końmi. Oskarżony przyjmował w Pokrzywkach panów z poselstwa?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, nie.

Prokurator: A kto to przyjechał w tym samochodzie, co miał numer owinięty szmatą?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, ja nie wiem.

Prokurator: A jak się oskarżonemu zdaje? Skoro w dwa tygodnie później wybuchł w Pokrzywkach pożar?

Nagle uczułem, że dłoń moją chwyciła kurczowo kobieca ręka. To pani Dorota, która siedziała za mną, denerwowała się okropnie.

— Czemu on męczy tego człowieka? — szepnęła z oburzeniem, gryząc nerwowo chusteczkę. — Przecież on naprawdę nie wie. Sam powiedział.

Za plecami pana Stasiuka widać było przeczyste niebo, konary rozłożystego klonu, na którym wisały kiście śniegu, a dalej — na obszernym placu, stały chłopskie biedki. Z końskich pysków, zanurzonych w workach z owsem, buchała mleczna para.

— Sabotaż. Jasne jak na dłoni. Łotr — i jeszcze się wypiera — mruknął fornał z Pokrzywek. Siedział koło mnie, trzymając córeczkę na kolanach.

Pani Dorota zachnęła się, urażona.

— Pan Stasinek mówi prawdę. Nigdy nie kradł — zasyczała szeptem. — Zawsze robił tylko dobrze dla ludzi.

— Tak, szanowna pani dobrodziejko? — mruknął fornał. — A to, widzi pani, to też pan Stasinek.

Podetkał jej pod nos drobne rączyny dziecka, na których widniały świeże ślady zaleczonego świerzbu.

— Gdzie podział pieniądze za te lekarstwa?

Pani Dorota odwróciła się i przytknęła batystową chusteczkę do oczu. Wyszedłem z sali z bólem głowy i powlokłem się na miasto. W B. spotyka się znajomych na każdym kroku; każdy dorzucał swoje uwagi do sprawy w sądzie doraźnym. Jedni gadali o koniach, drudzy o mieszkaniu pana Stasiuka, w którym, ku zdumieniu przybyłych, odkryto na parterze małą fontannę w salonie (podobno pierwszy wojewoda kazał sobie założyć — też siedzi); inni o kontaktach jego z podejrzanymi typami. Wszyscy udawali, że od lat o wszystkim wiedzieli, tylko nie chcieli mówić. Zwyczajnie, jak inteligenci. Zmęczyło mnie to gadanie, które raczej nadawało się do opowiadania niż do reportażu, i poszedłem

do towarzyski Józefkowej, do KW²⁶. Przyjęła mnie od razu i jej prosta, młoda jeszcze twarz rozpromieniła się serdecznym uśmiechem. Machnęła ręką na całą sprawę.

— Wybieramy sabotażystów jak gąsienice z kapusty — powiedziała. — Ale przecie nie o to chodzi, żeśmy jeszcze jednego złapali. Rozumiecie, ludzie uczą się rządzić. Słyszeliście o tym walnym zebraniu z lipca? Nie bardzo się udało. Mało aktywistów zabierało głos, nie umieli trafić w sedno sprawy, pokazać klasowego oblicza działalności pana Stasinka. Dopiero kiedy wkracza partia i państwo, ludzie się ośmielają. Ale jedźcie dziś po folwarkach, przyjrzyjcie się akcji oczyszczania szeregów partyjnych. Jak nasi partyjnicy zmądrzeli. Jak stali się czujni. I robota, towarzyszu, idzie.

— Sąd nie wszystko wyjaśni — mówiła dalej Józefkowa. — Są rzeczy, których trzeba dotykać delikatnie, jak pajęczyny, żeby pajaków nie spłoszyć. Ale i to, o czym się mówi na rozprawie, jest dobrą szkołą.

— Warto by o tym napisać jaki reportażyk — rzuciłem mimochodem.

— Poczekajcie jeszcze z pół roku, wtedy napiszecie o Pokrzywkach.

— Planujecie coś urządzić w tych ruinach?

— Stację maszynową. A we wsi — pierwszą spółdzielnię produkcyjną w województwie. Tak, tak, zaczynamy.

Roześmiała się z triumfem i potrząsnęła mi rękę na pożegnanie.

— Tylko koniecznie przyjedźcie.

Robił się już zmierzch, kiedy powróciłem na salę. Była rześmiście oświetlona. Chłopi siedzieli w ławkach, przewodniczący uśmiechał się wyrozumiale, ale ze znużeniem, ławnicy mieli twarze ostre i zacięte. Przemawiał prokurator. Wyłożywszy prawniczy punkt widzenia, naświetlił, jak to się mówi, sylwetkę oskarżonego. Nie potrafiłbym oddać żaru jego wymowy ani opisać pasji gestu. Słowem — dobrze mówił, a treść jego wywodów była mniej więcej taka:

— Oskarżony był działaczem związkowym. Politykiem. Wiedział dobrze, jakie ciężką na nim obowiązki. Zaufał mu lud, zawierzyło państwo. Pan Stasinek tłumaczył się, że w okresie organizowania państwowości praca jego nie była uregulowana regulaminami i że musiał nieraz decydować sam. To słuszne i piękne, i odpowiedzialne. Ale kiedy inni zapracowywali się na śmierć, żeby ruszył transport i przemysł, żeby dać ludziom chleba i mięsa, maszyn i ubrań, pan Stasinek czerpał chciwą łapą z kasy związku zawodowego. Zasmakowało; założył gniazdko kumoterskie w miasteczku, groził ludziom, że powyrzucą, powsadza, nauczy. Bali się go, patrzyli w milczeniu, jak rozkrada mienie państwowe. I dopiero, gdy ci ludzie dojrzel, gdy przestały im imponować i przerażać światowe maniere pana prezesa i gdy trzeźwym gospodarskim okiem spojrzeli na jego działalność, wtedy oskarżony wyciąga kumów²⁷ w B. i w Warszawie, rzuca się jak szczupak na haczyku, wyciąga swoje stosunki, przedkłada dokumenty, z których wynika, że ułatwił temu czy innemu biurokracie polować na jego obszarach leśnych. Na jego! A gdzie podziały się pieniądze? Przejezione, przehulane po Krynicach i miłych wycieczkach w samochodziku. Pieniądze zasmakowały; potrzeba było wciąż więcej i więcej. Więc konszachciki z agentami, diabli wiedzą jakimi i gdzie, mały sabotażyk i jeszcze mniejsza kradzież. I tak w kółko.

Kiedy pan prezes wyjeżdżał samochodami służbowymi na delegacje, kiedy obwoził kochanki i z dostojnikami sanacyjnymi po restauracjach bruderszafty wypijał za pieniądze związkowe, myśmy, prokuratorzy i sędziowie Polski Ludowej, także jeździli na sesje w teren i dostawaliśmy do sześciu złotych dziennie diet według stawek przedwojennych, dopóki rozporządzenie nie uregulowało tej sprawy. Kajzerki nie mogliśmy za te sześć złotych kupić. Lecz czy wyciągaliśmy łapę po mienie państwowe? Po krwawicę naszego ludowego, robotniczego, chłopskiego państwa? Kiedy pan prezes rozjeżdżał się po uzdrowiskach, w jego majątkach nawet maści na świerzby nie było. Czy widział on kiedy dzieci robotników rolnych? Zagrożone gruźlicą, niedożywione, zarażone świerzbem? To nie on zorganizował ekipy lekarskie. To nie z jego inicjatywy młodzi studenci medycyny pojechali na wieś. Mówię o tym, gdyż pan Stasinek strugał z siebie bohatera. Samotnika, który organizował tu Polskę.

²⁶KW — Komitet Wojewódzki. [przypis edytorski]

²⁷kum — tu: przyjaciel. [przypis edytorski]

— Nie chcę się domyślać — mówił dalej prokurator — na co oskarżony wydawał takie ogromne sumy pieniędzy. Przyjdzie czas na wszystko. Ale wychowany w gospodarce kapitalistycznej, całe życie marzący o zrobieniu kariery, nienawidzący państwa ludowego pan Stasinek myślał, że już przyszedł czas grabieży i samowoli. Zadaniem sądu będzie pokazać jemu podobnym, że czas ten bezpowrotnie minął.

Prokurator przerwał i popatrzył chwilę na oskarżonego. Potem spokojnie zakończył:

— Podtrzymując w całej rozciągłości akt oskarżenia, wnoszę o karę śmierci dla oskarżonego. — I usiadł. Zaraz podniósł się adwokat, który bardzo cichutko i bardzo zręcznie zbijał tezy prokuratora, dowodząc, że pan Stasinek — to ofiara nieporozumienia i poświęcenia, po czym rozprawę przerwano do jutra. Widzowie, tłocząc się, wyszli na korytarz. Pan Stasinek, bardzo blady, ale opromieniony aureolą śmierci, przeszedł między nimi z męczeńskim uśmiechem. Flegmatyczny milicjant wprowadził go do pokoju aresztantów na kolację od pani Doroty. Cichcem wsunęła się za nimi pani Dorota.

— Kochany Stasinek! Chciałam ci podać zapalki, poszłam do prokuratora, pokazując pudełko, ale mnie jak z nóg ścięło, słowa nie mogłam wykrztusić — szczebiotała beztrąsko. — A on, wyobraź sobie, popatrzył na mnie takimi złymi oczyma i mówi: „A jeszcze pani tu brakowało. Pani kto?” Uciekłam i nawet pudełko z zapalkami zapomniałam.

Pan Stasinek usiadł i nie ruszając jedzenia, palił w milczeniu papierosa.

Nagle oczy pani Doroty zapełniły się łzami.

— Stasinek, Stasinek, co to będzie? — zapytała żałośnie.

— Kobieto, nie wygłupiaj się — odpowiedział ostro pan Stasinek. Odrzucił ogarek i z rozkoszą wyciągnął się na ławce. — Rozmasuj mi nogi, zanim mnie odprowadzą. Spuchły mi po tyłu dniach stania na tej ławie oskarżonych.

PAN STASINEK WSTĄPI DO PARTII

Tego wieczoru, obszedłszy jeszcze kilku znajomych w miasteczku, którzy mi barwnie zdawali relację ze sprawy i wskazywali na szczegóły mogące się przydać w reportażu, odwiedziłem panią Dorotę w hotelu, gdzie zatrzymała się wraz z siostrą. Podczas gdy pani Dorota przesiadywała na rozprawie, pani Ciepko, korzystając z jarmarku, kupiła sobie do Warszawy zająca i tłustą kurę. Śmiechu było przy kolacji co niemiara, gdyż kupno się udało. Pani Ciepko umiała oszwabić²⁸ autochtonkę. Poza tym rozmawialiśmy o procesie.

— Nic się, Umiastowska, nie przejmuj — mówiła pani Ciepko, zjadając sałatkę z pomidorów. — Póki Ciepko i spółka mają swoje chody, krzywda się nie stanie ani tobie, ani twojemu Stasinkowi. Nie takie sprawy się załatwiało u Niemców, a to przecie nie Niemcy, nie hitlerowcy, a swoi.

Pani Dorota jadła bez apetytu, niemrawo grzebała widelcem w talerzu, ledwo umoczyła wargi w kieliszku starowinu. Właściciel knajpy patrzył na nią ze współczuciem i co raz to podszywał kelnera, czy czego nie trzeba.

— Gorszi niż hitlerowcy — powiedziała z żalem. — Żeby takiego zmartwienia człowiekowi narobić. Tyle się tu naharował, parę lat na prowincji przesiedział, organizował, biegł, nie jadł, nie spał — i co ma z tego? Powiedzą, że człowiek niedobry, i zaraz wszyscy na niego. I ten prokurator. To jakiś nienormalny typ. Jakim prawem mówił on o panu Stasinku jak o zbrodniarzu? Przecie gdyby mu dali czas, wszystko by w kasie wyrównał. Warszawa obiecała.

— A te konie? — mruknąłem, nabrałem szynki na talerz i z uwagą nakładałem chrzanu.

— No to co, konie? Albo to on jeden sprzedawał? Nie należało mu się? Inni jak robią? Nie tak samo? Wszyscy mu taką przyszłość rokowali i tyle sobie obiecywali po nim.

— Ehe — sapnąłem beznadziejnie i znowu nabrałem szynki.

— Stasinek i tak daleko zajedzie, ja ci mówię, ja, Ciepkowa — powiedziała z przekonaniem siostra. — Grunt to forsa, moja droga Umiastowska, a forsy u Ciepków nie braknie. Nie brakło za Niemców, nie zbraknie i za demokracji. Wyłoży się. Będziecie mieli, to oddacie. A nie, to nie. Niewielkie zmartwienie. Zarobi się nową. Bo co może być najgorszego?

— Śmierć — powiedziała pani Dorota i zapłakała nad swoją szynką.

²⁸oszwabić — oszukać. [przypis edytorski]

— Nie gadaj głupstw — przerwała ostro pani Ciepko. — Co on może dostać? No, powiedzmy, sześć, dziesięć lat. To się po roku złoży podanie do kancelarii prezydenta. Posmaruje się, gdzie potrzeba, obniża, powiedzmy, do trzech, czterech lat. Będzie się zachowywał przyzwoicie, wypiszą mu dobre świadectwo, posmaruje się u dyrektora więzienia, obetną wyrok za dobre sprawowanie do dwu, trzech lat — i wyjdzie. I co za zmartwienie?

U Ciepków w interesie zawsze się miejsce znajdzie dla człowieka ze stosunkami i zdolnościami Stasinka. Zresztą sama niejedno jeszcze masz.

Pani Dorota potrząsnęła w zadumie głową.

— Stasinek nie zechce pracować w inicjatywie prywatnej. To człowiek pracy społecznej. On innego życia nie poznał poza swoim związkiem. On tak kochał swój związek. Tak się z nim zrosł. Niech mi pan powie, pan jest naszym znajomym, pan pisze, pan zna stosunki: czy Stasinek może wstąpić do partii, jak wyjdzie z więzienia?

— Na pewno — potwierdziła gorąco pani Ciepko. — Forsa zawsze robi, że wszystko jest dobrze.

Śmierć Frajerom. Zakończenie

Niestety, prawie wszystko nie poszło dobrze: sąd doraźny skazał pana Stasinka na karę śmierci; z prawa łaski nie skorzystano; wyrok został wykonany. Po kilku miesiącach żaloby pani Dorota, która początkowo pracowała w sklepie z zabawkami pani Ciepko, wróciła jednak do swego męża, pana adwokata Umiastowskiego, i tak przynajmniej skończyła się pomyślnie chociaż jedna jej sprawa.

OD AUTORA

A teraz, towarzyszu prokuratorze, dawajcie następną sprawę.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/borowski-klopoty-pani-doroty/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Borowski, *Pożegnanie z Marią* i inne opowiadania, Państwowy Instytut Wydawniczy.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Wolne Lektury z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Aleksandry Sekuły.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Ilona Kalamon, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).